

To nie biedni walczą z bogatymi ani obrońcy przywilejów z ludźmi postępu i wolności. To walczą głupcy i nieuki z ludźmi inteligentnymi

Jan Hartman Magazyn Wyborczej 11.03.2023, 04:00

Jak nie pruderią, to faszyzmem, jak nie faszyzmem, to w przebraniu queer, ale zawsze górą jest ten sam oportunista gotów zniszczyć każdego, kto wyrasta ponad jego poziom

„Największą chorobą naszych czasów stał się literalizm – tendencja do ograniczającej myślenie dosłowności” – to słynne już zdanie Olgi Tokarczuk z jej przemówienia na pogrzebie Marii Janion trafia w sedno celniej i boleśniej niż kasandryczne wizje wrogów kapitalizmu.

Bo tępota jest gorsza od chciwości. Ograniczenie umysłowe, kulturowe równanie w dół w życiu publicznym, ekspulsja ironii, brak poczucia honoru i humoru oraz krytycznego dystansu do siebie, do świata i jego autorytetów wytwarzają większą presję kulturową i polityczną niż pazerność kapitalistów i żądza władzy demagogów czy politycznych gangsterów.

Ślepa i bezwzględna pogoń za zyskiem jest zła. Złe jest lekceważenie praw i potrzeb biednych i bezsilnych. Zła jest brutalna eksploatacja przyrody. Całe szczęście, że nasze czasy nie stawiają już żadnych ograniczeń w potępianiu tego zła. Ów luksus wolnej krytyki dotyczy jednakowoż wyłącznie zła rodzącego się w świecie możnych i potężnych. Ich można – i słusznie – oskarżać i piętnować bez ograniczeń. Gdy jednak trzeba by wskazać palcem na tych, którzy nie są uprzywilejowani albo wręcz są dyskryminowani, wtedy biada śmiałkowi! Pełna swoboda bycia i mówienia zastrzeżona jest dla biednych i delikatnych. Kto pretenduje do wyższych stanowisk i dochodów, musi być uprzedzająco grzeczny, formalny i poprawny – zwłaszcza w stosunku do nieuprzywilejowanych. Elity mają zbyt wiele do stracenia, aby co bardziej błyskotliwi a niesforni ich członkowie z powodu zamiłowania do dowcipkowania i formułowania krytycznych opinii ściągali na bogatych mieszczan kolejną falę rewolucji.

Zmowa elit tego świata polega na odstąpieniu od wszelkiego elitaryzmu i manifestowaniu zajadłego egalitaryzmu. Cel: zatrzeć w oczach mas hierarchię społeczną, ukryć bogactwo i przewagi, uprzedzić wszelką krytykę nierówności i

przejąć nad tą krytyką kontrolę. Do tego trzeba być w pełni wiarygodnym. Wszelki fałsz i protekcjonalność zostaną od razu zauważone przez kontrolerów czystości intencji podających się za rzeczników godności mas uciśnionych przez dyskryminację oraz postkolonialne i patriarchalne przesady.

Jak osiągnąć wiarygodność? To proste – wystarczy być autentycznie, a nie na niby, tępym, ograniczonym dogmatykiem, z dobrze wyrobionym odruchem resentymentu w stosunku do wszystkiego, co jest śmiałe, dowcipne, przekorne, inteligentne.

A jak nie dogmatykiem, to przynajmniej patentowanym tchórzem, drążącym przez każdą wydelikacjoną ofiarą losu, czyniącą sobie sposób na życie z obwiniania innych i skarżenia się na wymaginowane krzywdy. Dlatego w świecie zanegowanej i w tym zanegowaniu bezpiecznie się ukrywającej elitarności prawdziwą przewagę mają oportuniści i tępi burokraci. A jeszcze niedawno świat należał do mądrych, błyskotliwych literatów i polityków, głoszących postępowe idee! Dziś ludzie z krwi i kości muszą się zamykać w domach przed mydłkami. Spełnił się koszmarny sen Nietzschego.

Pocziwa stara pruderia przebrała się za postęp

Przejęcie przez elity dyskursu rewolucyjnego nie jest nowym pomysłem, bo już podczas rewolucji 1968 r. liderzy mieszczańskiej opinii zaczęli stosować tę strategię. Dokonywało się to jednakże w sferze politycznej i w związku z realnymi opóźnieniami procesów emancypacyjnych oraz w tragicznym kontekście wojny w Wietnamie. Dlatego moralne rozbudzenie klas wyższych było z grubsza wiarygodne i postępowe. Pół wieku temu trzeba było bronić osób LGBT i mniejszości etnicznych naprawdę, a nie na siłę. Mentalna reorganizacja elit była szczerą i potrzebną. Lecz i wówczas ten, kto brał na siebie rolę krytyka, musiał wypić kielich goryczy. Tym większa zasługa takich ludzi jak Theodor Adorno, którzy się na to zdecydowali. Krytyka jest bowiem potrzebna zawsze, a elitom nowoczesnego społeczeństwa potrzebna jest jak tlen.

W miarę postępów równości i fairness w życiu publicznym zapalał rewolucyjny elit wyradzał się jednakże w konwencje i rytuały, coraz bardziej uciążliwe i kosztowne. Pocziwa stara pruderia znalazła nowe ujęcie w epoce urzędowych reform językowych, a rolę kozłów ofiarnych zajęli nieszczęśliwi ekscentrycy, niezdolni powstrzymać się od łamania zasad politycznej poprawności. Za jedno

nieostrożne słówko, choćby wypowiedziane żartem lub nawet autoironicznie, już od wielu lat można w USA i w innych krajach stracić posadę profesora, dyrektora teatru, dyrygenta, nie mówiąc już o posadzie urzędnika. Miała być wolność słowa, otwarta i krytyczna, nieznająca tabu debata publiczna, a wyszło jak zwykle. Znowu zwyciężył kołtun, oportunistą i tępak. Ludzie niezależni i dowcipni znów muszą się kryć po kawiarniach. A i tam mogą zostać sfotografowani, nagrani i skompromitowani.

A może połowa Polaków i połowa Amerykanów jest mniej inteligentna

Rewolucja emancypacyjna osiągnęła spektakularny sukces. Rasizm, niewolnictwo, dyskryminacja kobiet, a nawet dyskryminacja osób LGBT w całym świecie zostały potępione. W licznych krajach jest jeszcze wiele do zrobienia, lecz sama idea moralna równości i szacunku w życiu społecznym ostatecznie zwyciężyła. Gorzej poszło z tą drugą rewolucją, z powodu której „nowoczesność” stała się niemalże synonimem „oświecenia”. Nie udało się stworzyć masowych społeczeństw obywatelskich złożonych ze światłych, wykształconych i krytycznie myślących jednostek. Tylko w nielicznych bardzo bogatych i niewielkich krajach ogół mieszkańców jest taki, jak wyobrażali sobie entuzjaści powszechnego szkolnictwa przed 100 laty. W wielkich społeczeństwach się nie udało. Nadal składają się one w większości z warstwy ludowej, czyli ludzi zwanych przed wielką reformą językową „prostymi”. A skoro jest lud, to jest też konflikt klasowy i lęk elit przed ludową rewolucją.

Dlaczego tak się stało? Może po prostu dlatego, że połowa Polaków i połowa Amerykanów jest mniej inteligentna od połowy Polaków i połowy Amerykanów? Może z przeciętnego człowieka nie da się zrobić samodzielnie myślącej, krytycznej i samokrytycznej osoby, w dodatku poczuwającej się do obywatelskich obowiązków, wychodzących poza obronę osobistych i grupowych interesów? Wygląda na to, że nie da się tego uczynić z większością ludzi, przynajmniej za pomocą takich narzędzi, jakimi dysponuje wielkie masowe państwo mające wielokulturowe i bardzo złożone społeczeństwo.

Paternalistyczne z natury starania oświaty publicznej przybrały charakter równościowej „reedukacji” prowadzonej normalnymi, sprawdzonymi w epoce nacjonalizmu, metodami dydaktycznymi. Szkoły i w ogóle cała podporządkowana władzy sfera publicznego komunikowania się, łącznie z językiem urzędowym i mediami publicznymi, stała się domeną

protekcjonalnego literalizmu i paternalistycznego infantylizmu. Obłaskawianie „ludu” i jego obywatelsko-egalitarna „reedukacja” odbywa się w atmosferze smętnego ugrzecznienia, zrytualizowanego konformizmu i retorycznego uwstecznienia. Fałszywa słodycz, płytkość i pozorna troska, deklaratywna empatia i zdziecinienie stały się tonem obowiązującym – od telewizji informacyjnych, przez sale wykładowe, aż po zebrania gremiów rządowych.

Mityczny „drobnomieszczanin” znów przyszedł po swoje. Jak nie pruderią, to faszyzmem, jak nie faszyzmem, to choćby w przebraniu queer, w różach i tęczkach, ale zawsze górą jest ten sam oportunistą i karierowicz, napędzany lękiem i resentymentem, gotów zniszczyć każdego, kto wyrasta ponad jego poziom i mógłby go ośmieszyć lub pozbawić dochodów.

Drobnomieszczański rewanżyzm święci triumfy. Niemalże już wszędzie na Zachodzie elity żyją w strachu przed drobną gafą, nieopatrzonym słówkiem, którym można się narazić strażnikom rewolucji-kontrrewolucji. Jakikolwiek sprzeciw wobec tego, co „ministerstwa progresu” zechciały ogłosić jako obowiązującą doktrynę i obowiązkowy sposób wyrażania się, kończy się publicznym „skasowaniem” delikwenta. Aż strach podawać przykłady, bo samo ich przywołanie może zostać odebrane jako sprzyjanie drapieżcom seksualnym, rasistom, męskim suprematystom, klasistom i innej cholerze. Dobrze, że choć emeryt albo rentier może zachować jako taką niezależność i prowadzić sobie niegrzeczny blog. Na pocieszenie – bo zasięgów o własnych siłach nie robi. Śmierć cywilna możliwa jest nawet w epoce nadkomunikacji.

„Woke”, „przebudzenie”, to egzaltowane hasło tej postemancypacyjnej rewolucji zagospodarowującej teren, którego nie udało się podbić oświeceniu. Bo ci sami ludzie, którzy nie chcieli zostać „świątłymi obywatelami”, wyczuwając w ideologii oświecenia jakąś manipulację, z chęcią słuchają „budzących ich” demagogów wmawiających im, że elity przeżarte są przez wrogów ludu gotowych dyskryminować czarnych, uprawiających kryptokolonializm, a w dodatku zblatowanych z rekinami biznesu i ich politycznymi bodyguardami.

Zaczyna to przypominać stosunki panujące w Europie Wschodniej w epoce poststalinowskiej, gdy może już nie wsadzano, lecz nadal z radosnym zapałem poniżano, sekowano i wywalano z uczelni i redakcji. Trudno uwierzyć, że te same zjawiska zbiorowej agresji i te same plemienne rytuały tożsamościowe tak dobrze się mają w demokracjach. Jak widać, „plemienna socjologia”, sięgająca archaicznych warstw społeczeństwa, nie przestaje działać i narzucać swych na

wpół naturalnych praw nawet najbardziej nowoczesnym społeczeństwom. Znów górę wzięły społeczne rytuały, a ten, kto kontroluje obrzędy i zaklęcia, ma też władzę. Zmieniają się ideologiczne formułki, zmieniają się symbole i ceremoniały więzi ludu z jego elitami, lecz jedno się nie zmieniło – jak zawsze szafarz ideologii w imieniu uprzywilejowanych schlebia ludowi i wskazuje mu wroga, którego wolno mu pożyć, aby uśmierzyć narastającą w nim okresowo frustrację i agresję.

Ocenianie, krytycyzm i sceptycyzm są jak łupież i plamy z wina

Nadzór ideologiczny tężeje. Nie ma już gazety, wydawnictwa, katedry uniwersyteckiej, do której na inspekcję nie zaglądają panie i panowie w różowych czapkach. Sprawdzają, czy wszyscy przedstawiciele ludu mają aby pełen komfort. Czy nie dzieje się nic, co przewrażliwiona i ograniczona osoba mogłaby odczytać jako lekceważenie, dyskryminację albo choćby tylko krytykę. Czy na pewno jest dostatecznie słodko, wyrozumiale, empatycznie, równościowo, inkluzywnie i nikt się aby nie wywyższa, nie staje się dwuznaczny i niezrozumiały, elitarny i godny podziwu. Zwłaszcza to ostatnie jest niewybaczalne!

Epidemia narcystycznego nihilizmu i wyuczonego wydelikacenia, infantylnej roszczeniowości posługującej się szantażem moralnym i denuncjacją opanowała już cały Zachód. Niestety, rynek i demokratyczna polityka sprzyjają regresji, czyli infantylizacji społeczeństwa. Grając na ludzkich próżności i egoizmie, utwierdzają masy w poczuciu bezpieczeństwa, zadowolenia z siebie, a przede wszystkim w zapamiętłym skupianiu się na zarabianiu i konsumpcji. Między masami konsumentów a marketingiem (rynkowym i politycznym) pracuje sprzężenie zwrotne: elity podpowiadają co raz to nowe narracje miłości własnej, generujące coraz to nowe potrzeby, a masa – lepiej czy gorzej reagując zakupami i głosami wyborczymi na przekaz marketingowy – uczy je, w jaki sposób powinny modyfikować swój „przekaz”, aby wielka różowa kula globalnego narcyzmu bez przeszkód toczyła się nadal.

Książki o człowieku jednowymiarowym, o społeczeństwie zabawy, o neurotyzmie i narcyzmie człowieka masowego, o szale konsumpcji, powszechnym ośłupieniu i duchu faszyzmu, który się w tym wszystkim kryje, pisze się już od dobrych 100 lat. Niektóre stały się zbanalizowanymi klasykami, tyleż sławnymi, co bezsilnymi. Nawet kabotyn i oportunist-karierowicz jest

dziś wystarczająco wygadany, by umieć włączyć elementy zrytualizowanej krytyki społecznej do arsenału smalltalkowych grepsów. Wszyscy to wiedzą, przez co właściwie straciło już znaczenie, czy ćwiczysz jogę i seks tantryczny, czy też może nie golisz nóg i jesz porosty. Wszystko nadaje się do manifestowania wszystkiego, co mieć należy: wolności, indywidualności, uważności, świadomości, postępowości, duchowości. Czego nie wolno, to krytykować, mieć innym za złe, a w szczególności nie wolno odmawiać empatii nikomu, kto nie będąc zamożnym mieszczańinem, skarży się na jakąkolwiek krzywdę czy dyskryminację. Bo współczucie i troska są różowe i słodkie jak smoothie, a ocenianie, krytycyzm i sceptycyzm są jak łupież i plamy z wina.

Najłatwiej dobierać się do swoich

Różowy świat jest pełen resentymentu, złości i gniewu. Jest brudny. Lecz te wszystkie małe frustracje ludzi niemogących otwarcie manifestować swojego pragnienia realnego awansu oraz cierpiących od zawiści w stosunku do tych, którzy otrzymują więcej uwagi i zarabiają więcej pieniędzy, gdzieś muszą znaleźć ujście. „Ludzie ostatni”, jak nazywał ich Nietzsche, bardzo dbają o swoje bezpieczeństwo. Nie będą się narażać. Wolą się skarżyć władzy i walczyć o swoją nigdy nie dość rozpieszczoną godność cudzymi rękami. Są po prostu tchórzliwi i pozbawieni honoru. Jednakże ich agresja wciąż się kumuluje i kiedyś musi znaleźć ujście. Różowa kula musi kogoś zmiażdżyć. Kogo?

Najłatwiej dobierać się do swoich. Są łatwym celem. Jak pisze w eseju „Woke – kultura przesady i cynicznych ofiar” (Wei.org.pl, 14.09.2022) Katarzyna Szumlewicz: „W cancel culture, czyli kulturze anulowania, nie chodzi o eliminowanie z dyskursu jawnych obrońców i beneficjentów ucisku. Są oni z jednej strony nie do ruszenia, a z drugiej – nudni jako przeciwnicy. Nie da im się zarzucić maskowania przywileju, skoro bronią go zupełnie jawnie.

»Anulowanie« dotyczy więc ludzi z własnych szeregów, którzy okazali się nie dość radykalni w tropieniu wszędzie ucisku. Dlatego wśród osób wyganianych ze sfery publicznej większość stanowią postępowcy: feministki, antyrasiści, obrońcy praw gejów i lesbijek, przedstawiciele liberalizmu i lewicy. Potępiana zbrodnia jest ukryta, zawiera się w niewłaściwie użytym słowie czy nawet lajku. Świadczy o niej brak zachwyty nad brawurowymi odwróceniami pojęć”.

Z pewnością koszty ofiarne „wojny kulturowej”, rekrutujące się ze środowisk aspirujących do awansu za pomocą ideologii lub nawet należące do

postępowych elit, stanowią pierwszy cel różowych wojowników. Nie jest jednak wcale takie oczywiste, czy ten konflikt, od czasów Nietzschego opisywany jako walka wolnych i inteligentnych z drobnomieszczańskim kołtunem, zastępuje walkę klas bądź jest jej przejawem, jak chce Slavoj Žižek w artykule „Co ma wspólnego altprawica z »woke« lewicą?” (Dwutygodnik, 5.08.2022):

„Zachodnia poprawność polityczna (wokeness) zastąpiła dawną walkę klas, tworząc w efekcie liberalną elitę, która twierdzi, że chroni zagrożone mniejszości rasowe i seksualne, co ma na celu odwrócenie uwagi od jej własnej uprzywilejowanej pozycji ekonomicznej i politycznej”. A „wojny kulturowe przejęły rolę walki klas jako siły napędowej polityki”.

Nie ma wątpliwości, że różowa ideologia powszechnej miłości, wykluczająca jedynie tych, którzy nie chcą dostatecznie silnie miłować, to strategia ideologiczna elit. Nic nowego – stosowano ją już wielokrotnie, budując teokratyczne i świeckie imperia. Jednakże teza o walce klas wydaje się wątpliwa. Poniekąd broni jej Bradley Campbell w głośniej książce „The Rise of the Victimhood Culture”. Twierdzi on (w kontekście konfliktów na amerykańskich uniwersytetach), że dawna kultura oparta na godności i honorze zastępowania jest przez kulturę słabości i bycia ofiarą. Prawica, również ta alt-, jawi się wobec tego jako konserwatywna obrona pewnego starego porządku etycznego, w którym ceniło się sprawczość, samodzielność, hierarchię, hart ducha i honor. Rzecz jasna, konserwatyści całego świata chętnie temu przyklasną.

Sądzę jednak, że nie ma żadnej walki „normalnych” z „postępowymi”, a tzw. wojna kulturowa jest zastępcza i pozorna. Nie dlatego jednak, że u spodu toczy się klasyczna walka klas, ani dlatego, że trzeba czymś zapełnić próżnię po niej. Walka klas niemal się już skończyła. Wszyscy chcą tego samego i dawno już syty i głodny doskonale się rozumieją. Masa chce nie zmiany ustroju, ale wyższych dochodów. Co więcej, bogaci „konserwatyści” mają te same interesy, co bogaci „liberałowie”, a uwodzenie mas ideologią ksenofobiczną oraz ideologią powszechnej równości i inkluzji to dwie dopełniające się strategie manipulacji. Jednakże klasy niższe od dawna nie mają już własnych interesów, gdyż ich dostęp do awansu społecznego jest nieporównanie szerszy niż kiedykolwiek w historii. Owszem, istnieją zawiść i resentyment, lecz drabiny awansu stoją wszędzie i wszyscy grają w tę samą grę. Jej stawką jest dochód, a w pewnym stopniu również sława (internetowy „fejm”), natomiast prestiż jako odrębny od zamożności wyróżnik pozycji społecznej zanika na naszych oczach.

Nie, nie ma już walki klas, bo niemal wszyscy szczerze godzą się dziś na równość. Ta wielka idea zwyciężyła naprawdę. Pomógł w tym zapał kołtuna do „równania w dół”, lecz tak czy inaczej cel demokracji został osiągnięty. A spór o sprawiedliwy podział zasobów i społeczna niezgoda na wielkie nierówności majątkowe to nie to samo, co walka klas. To zwykła rywalizacja i konflikt o udziały.

Gdy rewolucja pożre własne dzieci, pójdzie do instytucji

Kto więc będzie nie doraźną, lecz prawdziwą ofiarą różowej kuli toczącej się przez świat? Na razie zgniata ona dość przypadkowe jednostki, które nie wykazały się dostateczną gorliwością. Na razie ta rewolucja pożera własne dzieci. Z pewnością jednak to jej nie wystarczy. Ostrze resentymentu ponury kołtun z cynicznym oportunistą skierują wkrótce nie przeciwko jednostkom, lecz całym instytucjom i środowiskom. Już dziś szkoły i uniwersytety na Zachodzie cierpią pod presją różowego nadzoru. Czy przeistoczy się on w różowy terror?

W sferze kultury, a więc w filmie, literaturze czy plastyce, również narasta lęk przed tępą dosłownością i agresywnym doktrynerstwem. To nie biedni walczą z bogatymi ani zacofani obrońcy starych przywilejów z ludźmi postępu i wolności. To walczą głupcy i nieuki z ludźmi inteligentnymi i wykształconymi. Ci pierwsi nie mogą tym drugim wybaczyć ich kulturalnej i osobowościowej przewagi. Przede wszystkim jednak nie są w stanie w ogóle ich zrozumieć.

Nigdy w dziejach świata głupota nie miała takiej mocy i takiej władzy. To cena, którą płacimy za emancypację. Trzeba ją płacić z pokorą i godnością, lecz nie posuwając się do tchórzostwa. Kto dziś chce zachować wolność i godność jako badacz, literat czy artysta, musi się liczyć z wykluczeniem. Warto się po prostu z tym pogodzić. Różowa kula musi się przetoczyć i spaść w swoją przepaść. Nie takie inwazje już ludzkość przeżyła.